NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w miejscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półrocznie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy **120** Marek.

Rok XIX. Kraków, 12 sierpnia 1922. Nr. 32.

W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej



W dniu 5. sierpnia b. r., w drodze z dworca kolejowego do gmachu Województwa, ludność wyprzągłszy konie, ciągnie powóz Naczelnika Państwa

W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście)

Ósmą rocznicę wybuchu wielkiej wojny światowej, której zawdzięczamy naszą samodzielność polityczną, obchodziła cała Polska, w szczególności zaś Kraków, bardzo uroczyście.

W Krakowie, jako w miejscu, gdzie tworzyły się zaczątki armii polskiej, mającej w tych tytanicznych zmaganiach odegrać tak ważną rolę, odbył się w dniach 5, 6 i 7 sierpnia b r. zjazd byłych Legionistów i Związków Strzeleckich, uświetniony przybyciem Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, twórcy Legionów, Józefa Piłsudskiego.



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Naczelnik Państwa opuszcza dw. kolejowy w Krakowie.



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Przed przybyciem Naczelnika Państwa jen. bryg. Tinz dokonuje przeglądu wojsk zebranych na Błoniach. Fot. IV. Baonu Aerost.



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Przegląd wojsk na Błoniach krakowskich, dokonany w dniu 5. sierpnia b r. przez Nacz. Państwa. Fot. IV. Baonu Aerost.

Przybycie Naczelnika Państwa nastąpiło w sobotę, dnia 5. sierpnia b. r., w godzinach przedpołudniowych. Już od wczesnego ranka ściągały w stronę dworca kolejowego oddziały wojskowe różnych rodzajów broni, delegacye i tysiączne rzesze publiczności, zapełniające szczelnie plac przed dworcem, ulicę Lubicz i Basztową pod gmach Województwa, gdzie Naczelnik na czas pobytu stanął kwaterą. Na przyjęcie Gościa przystrojono miasto flagami o barwach narodowych i miejskich, w pierwszym dniu pogoda dopisała zupełnie.

Przed głównem wejściem na peron ustawiła się konnica 8 pułku ułanów, opodal zaś grupa b. Legionistów. Przestrzeń od ulicy Pawiej i Lubicz aż po dworzec zajęły delegacye kolejarzy miejscowych oraz z Rzeszowa i Bielska, delegacye robotnicze, rękodzielnicze itd. ze sztandarami. Drużyna skautowa stanęła przed bramą Województwa.

Równocześnie peron i salon przyjęć na dworcu począł zapełniać się przedstawicielami władz rządowych i miejskich.

Wzdłuż peronu ustawiła się kompania honorowa 20 pp. opodal zaś orkiestra tego pułku i delegacye wszystkich formacyi wojskowych. Osobną grupę stanowili jenerałowie; Tinz, Truszkowski, Rogalski, Norwid-Neugebauer, Krzemiński, dalej grono wyższych oficerów, z komendantem obozu warownego pułk. Beckerem, podpułk. Schleglem i pułk. dr. Kosolewiczem na czele. Po prawej zaś stronie peronu ustawiła się kompania honorowa „Strzelca“ z prezesem Związku Strzeleckiego dr. Dłuskim i Tetmajerem. O godz. 9 min. 45 przy dźwiękach hymnu narodowego wszedł na peron gen. Minkiewicz, który przeszedł przed frontem kompanii i odebrał raport.

Niedługo przed godziną 10 wszystkie stojące na stacyi lokomotywy dały znać syrenami o nadchodzącym pociągu, wiozącym Naczelnika Państwa. Orkiestra odegrała „Jeszcze Polska nie zginęła“, a na peron wjechał pociąg złożony z kilku wozów salonowych. Na widok Naczelnika Państwa, który ukazał się w przedostatnim wozie rozległy się wokół okrzyki: „Niech żyje“.

Kiedy pociąg się zatrzymał z wagonu wysiadł pierwszy Naczelnik Państwa, a za nim wojewoda Gałecki i kom. O. K. jen. Osiński. Równocześnie z innych wagonów wysiedli minister wojny Sosnkowski, szef sztabu jen. Sikorski, jen. Rydz-Śmigły, adjutanci Naczelnika Państwa wraz z p. Carem, szefem kancelaryi cywilnej.

Po wyjściu z pociągu Naczelnik Państwa przeszedł przed frontem kompanii honorowej i odebrał raport od jen. Minkiewicza;następnie w otoczeniu wojewody, jen. Osińskiego, prez. miasta Federowicza, wiceprezydentów i prof. Estreichera przeszedł przed frontem delegacyi Zw. Strzeleckiego.

Wśród gromkich okrzyków tłumnie zgromadzonej publiczności, przeszedł Gość do salonu recepcyjnego, gdzie przemówił do niego prez. Federowicz, kończąc okrzykiem na cześć Naczelnika Państwa



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Naczelnik Państwa podczas mszy św. polowej na Błoniach krakowskich w dniu 5. sierpnia b. r. Fot. IV. Baonu Aerost.

Jedna z obecnych pań wręczyła Naczelnikowi naręcze kwiatów.

Kiedy Naczelny Wódz ukazał się na placu przed dworcem, z piersi zebranych tłumów publiczności dobyły się okrzyki „Niech żyje Naczelnik“. W tym momencie uczestnicy uroczystości rzucili się do powozu, do którego wsiadł Naczelnik z wojewodą Gałeckim i wyprzągnęli konie. Kiedy powóz ruszył z miejsca, stojący przed dworcem szwadron ułanów skierował się w stronę ul. Basztowej, tworząc czoło pochodu. Za konnicą jechał w pierwszym powozie jako gospodarz prez. Federowicz, a za nim posuwał się z wolna powóz z Naczelnikiem Państwa.

Gdy powóz Naczelnika stanął przed Województwem zgromadzeni podjęli Naczelnika na ramiona i wnieśli go do wnętrza gmachu. W niedługą chwilę dostojny Gość ukazał się na balkonie I. piętra, dziękując ukłonami za powitanie.

O godzinie trzy kwadranse na 12 w towarzystwie wojewody, min. Sosnkowskiego, szefa sztabu generalnego Sikorskiego i jen. Osińskiego przybył Naczelnik na uroczystość wojskową na Błoniach. Przed ołtarzem polowym, gdzie mszę św. odprawił generalny kapelan załogi ks. Niezgoda, ugrupowały się reprezentacye wszystkich władz. W pośrodku zajął miejsce na fotelu Naczelnik Państwa. Orkiestra 20 pp. pod batutą kapelmistrza Zamorskiego odegrała szereg pieśni kościelnych.

Nastąpiła defilada, a po niej udał się Naczelnik Państwa do Kasyna oficerskiego, gdzie do salonów wprowadził go jen. Osiński. Tutaj przy stole zastawionym w podkowę zasiadł na honorowem miejscu Naczelnik Państwa. Po prawej stronie Naczelnika usiedli wojewoda Gałecki po lewej jen. Osiński, naprzeciw prez. m. Federowicz, minister wojny jen. Sosnkowski i szef sztabu generalnego Sikorski. Podczas obiadu jen. Osiński wzniósł toast na cześć Naczelnika Państwa.

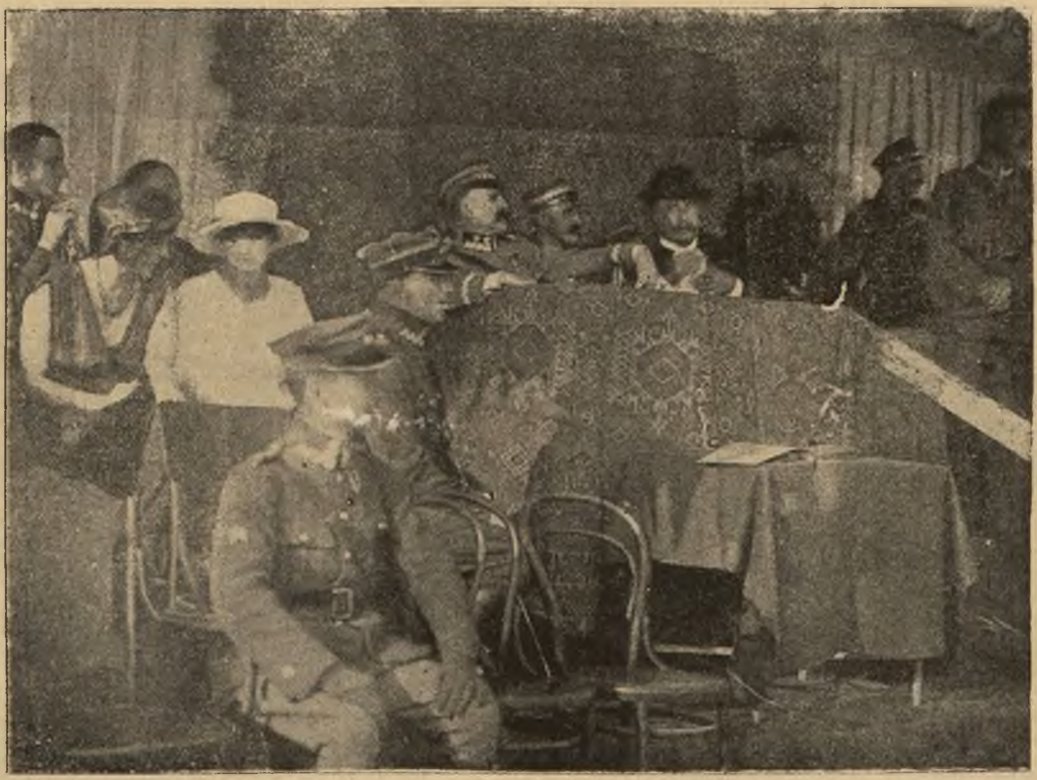
Po śniadaniu odjechał Naczelnik Państwa na Błonie, gdzie odbywały się ćwiczenia piechoty według nowych zasad walki, poczem wziął udział w rozgrywce piłki nożnej w koszarach Czarneckiego na Krowodrzy, śledząc z loży honorowej z zajęciem przebieg zawodów. O godz. 5 i pół popołudniu otoczony banderyą Krakusów przybył Naczelnik w towarzystwie swej świty i wojewody Gałeckiego na strzelnicę wojskową na Woli Justowskiej. Przy bramie tryumfalnej powitały Naczelnika Państwa dzieci szkolne. Jedna z uczenic wręczyła Naczelnikowi bukiet. Naczelnik Państwa zabawił na strzelnicy godzinę.

Rozpoczęciem zjazdu b. Legionistów była wieczornica urządzona w „Starym Teatrze“. Wieczornicę zaszczycił swę obecnością Naczelnik Państwa. Przemawiali Naczelnik Państwa, jen. Sosnkowski, i jen. Roja.

Na Zjazd Strzelecki między innymi przybyły oddziały z Warszawy, Pruszkowa, Kozienic, Sosnowca, Zawiercia, Włodzimierza Wołyńskiego, Kowla, Wilna, Brześcia nad Bugiem itd. Z pośród oddziałów wyróżniały się oddziały góralskie Związku Strzeleckiego z Podhala, które przybyły w barwnych strojach góralskich, z własną orkiestrą i oddziałem kobiecym, złożonym z 30 góralek. Ogółem przybyło na Zjazd przeszło 2000 Strzelców. Na zbiórce podzielono przybyłych na trzy pełne bataliony i kompanie, ponadto zaś wydzielono osobną kompanię jako „kadrową“, złożoną z najlepiej sprawujących się Strzelców wszystkich okręgów. Zbiórka zakończyła się przemową komendanta Gł. Związku Strzeleckiego p. Malskiego do Strzelców.

Niedzielne uroczystości legionowe rozpoczęły się o godzinie 3 15 po północy tradycyjnym wymarszem kompanii kadrowej, śladem tych, którzy temu lat ośm również tą samą drogą wyruszyli na bój o Wolność. Z przed „Oleandrów“, z miejsca, gdzie w roku 1914 komendant Piłsudski wysyłał kadrówkę do Królestwa, wyruszyła kompania drogą na Kawiory, do Michałowic, do dawnej komory rosyjskiej. Kadrówkę prowadził jeden z najzasłużeńszych oficerów Związku Strzeleckiego b. Legionista Marcin Wyród.

Mimo późnej nocy zebrały się na Błoniach tłumy publiczności oraz członkowie Zjazdu b. Le-



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Naczelnik Państwa wraz z wojewodą Gałeckim podczas matchu footballowego na boisku koszar im. Czarnieckiego.



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Naczelnik Państwa ze świtą przy bramie honorowej, wiodącej do koszar im. Czarnieckiego na Krowodrzy.

gionistów. Kilka minut przed wymarszem przybył Naczelnik Państwa ze swą świtą.

Przed wymarszem odczytał kierujący uroczystością kom. obw. Kraków Miasto Zw. Strzel., pułk. Olszyna-Wilczyński dwa pamiętne rozkazy Piłsudskiego, jeden rozkaz dotyczący połączenia Drużyn i zw. Strzeleckich w obliczu nadchodzących wypadków, drugi skierowany do wyruszającej na front kadrówki. Po chwili na daną komendę, drgnęły karnie wyprężone plutony kompanii „kadrowej“ i z znaną legionową piosenką na ustach: „raduje się serce, raduje się dusza“, ruszyły w nakazanym kierunku. Tysiąc kroków za nimi maszerowały pozostałe kompanie i bataliony Zw. Strzeleckiego. Naczelnik Państwa mimo zmęczenia, pomaszerował pieszo z oddziałami kilka kilometrów.

Kiedy o świcie linie czołowe Strzelców osiągnęły dawny kordon graniczny, na tle wschodzącego słońca zawidniała brama tryumfalna wzniesiona przez mieszkańców okolicznych wsi. Przed



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Naczelnik Państwa w towarzystwie jen. Sosnkowskiego przy obiedzie żołnierskim na Błoniach krak. 6. b. m.

bramą przywitała Strzelców ludność, tamtejsza Straż pożarna oraz banderya włościańska, złożona z 70 jeźdźców i orkiestry włościańskiej. Po przemówieniach naczelnika gminy, nauczyciela tamtejszego i innych odpowiedział kom. Malski, poczem ludność miejscowa ugościła serdecznie przybyłych Strzelców. Po śniadaniu i wypoczynku nastąpił powrót do Krakowa. Zapowiedziana msza polowa na godzinę 10 na Błoniach z powodu deszczu nie odbyła się natomiast odbyło się nabożeństwo w kościele garnizonowym św. Piotra. Przybycia Naczelnika Państwa oczekiwali przed kościołem reprezentanci władz i jeneralicya. Koło godz. 11 rano nadjechał przed kościół samochód, wiozący Nacz. Państwa. Po wyjściu z samochodu Naczelnik przeszedł przed frontem ustawionych oddziałów góralskiego Związku Strzeleckiego z Podhala, gdzie przemówił doń jeden z górali, a góralka wręczyła Naczelnikowi snop kłosów z sierpem.

Po nabożeństwie udał się Naczelny Wódz na Błonia, gdzie odbył przegląd przybyłych oddziałów Strzeleckich i Legionowych. Naprzeciw „Oleandrów“ w kwadracie sformowanym przez górali stanął Naczelnik państwa w otoczeniu jeneralicyi i gości. Przy dźwiękach dwóch orkiestr przedefilowały przed Naczelnikiem bataliony Zw. Strzeleckiego. Po oddziałach Zw. Strzeleckiego przemaszerowali członkowie Zjazdu b. Legionistów. Po przeglądzie przeszedł Naczelnik do Parku Jordana, gdzie w rozbitym namiocie przy drewnianym stole zasiadł do żołnierskiego obiadu, złożonego z zupy, kaszy, kawałka mięsa, komiśnego chleba z marmoladą i czarnej kawy, a spożytego z wojskowej menażki blaszaną łyżką. Na około namiotu zgrupowały się liczne rzesze b. Legionistów i Strzelców,

Po godzinnym prawie pobycie w namiocie Naczelnik odjechał na otwarcie Zjazdu b. Legionistów. Po godzinie pierwszej nastąpiło otwarcie Zjazdu b. Legionistów w salach St. Teatru. Zjazd powitał imienlem Stow. b. Legionistów przew. Wodzinowski. W trakcie przemówień wszedł na salę Naczelnik Państwa, któremu zebrani zgotowali entuzyastyczną owacyę. Pos. Dąbski wygłosił mowę powitalną. Po oficyalnych przemówieniach Naczelnik Państwa Zjazd opuścił, poczem Dr. Kwieciński odczytał kilka z tysiąca nadesłanych telegramów. Ze Zjazdu b. Legionistów przybył Naczelnik do restauracyi Pollera, gdzie przez marszałka powiatu krak. Skrzyńskiego podejmowany był śniadaniem, wydanem przez Radę powiatową.

Po śniadaniu w hotelu Pollera był Naczelnik na matchu „Cracovii“, a następnie o godz. 8·30 wieczór odbył się przy udziale około 200 osób bankiet wydany na cześć Naczelnika Państwa przez prezydyum miasta. Około $^3/_4$ na 12 w nocy przybył Naczelnik na dziedziniec zamkowy, gdzie odbywał się „Festival“ Tow. śpiewackiego „Echa“. Wśród hucznych okrzyków zebranej publiczności



W ósmą rocznicę wybuchu wojny światowej: Przybywającego na Błonia Naczelnika Państwa witają owacyjnie Legioniści, Strzelcy i publiczność.

Naczelnik Państwa zajął miejsce w loży, umieszczonej w krużganku I piętra. W poniedziałek odbył Naczelnik Państwa w towarzystwie wojewody Gałeckiego wycieczkę samochodem do Morskiego Oka, po powrocie stamtąd podejmował obiadem w salonach Województwa profesorów Wydziału prawniczego Uniw. Jag., a po północy opuścił Kraków, udając się samochodem w stronę Miechowa.



Z Zakonu Braci Mił.: O. Eustachy Mikołajewski, obecny przeor krakowskiego Konwentu.

W tym dniu zakończyły się także obrady Zjazdu b. Legionistów i Związku Strzeleckiego.



Z Zakonu Braci Miłosiedzia: Uczestnicy pierwszej Kapituły reaktywowanej Prowincyi w Krakowie z Prowincyałem O. Jackiem Misiakiem w pośrodku.

Z Zakonu Braci Miłosierdzia.

Równocześnie z powołaniem do życia samodzielnej Polski reaktywowano także polską Prowincyę Zakonu Braci Miłosierdzia pod wezwaniem św. Jana Bożego, zwanych u nas popularnie Bonifratrami. Dawna Prowincya polska, w skład

RENE BURES.

Zil=X...

28. tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

W końcu, jeżeli wiedzieliśmy, że mała Róża Laplanche została zabraną przez Zila — nie wiedzieliśmy jeszcze tak, jak i przedtem, kto był ten tajemniczy Zil, pomocnik kata, korespondujący z kapitanem de Limandoux. A gdzie ten Zil przedewszystkiem uprowadził małą Różę? Gdzie mieszkał? Ślad się zaznaczał trochę wyraźniej, ale zawsze staliśmy wobec niewyjaśnionej tajemnicy. Teraz należało nam tylko czekać na powrót Igginsa, który ze swojej strony wybrał się na poszukiwania i którego nagła śmierć Markasa poruszyła silnie.

Powróciwszy do mieszkania, zastaliśmy krótki bilecik od niego, oznajmiający nam, abyśmy nie wychodzili i czekali na niego.

Czekaliśmy zatem na niego...

Czekaliśmy do wieczora, paląc papierosy.

O godzinie szóstej jeden z naszych ludzi przyniósł nam raport o pierwszych rezultatach śledztwa, tyczącego się otrucia Markasa. Lekarz, który badał zwłoki, stwierdził, że rzeczywiście ajent został struty, lecz nie mógł dociec, jaki rodzaj trucizny został użyty.

Zachowanie się starego Dambleuse nie zmieniło się dotąd. Nie przemówił już ani słowa i nie chciał odpowiadać na zadawane mu pytania co do okoliczności, które poprzedziły śmierć Markasa. Zajęty był, jak od pierwszego dnia osadzenia w więzieniu, jakimś rachunkiem, spisując dzień i noc całą niezliczoną ilość cyfr na wielkich arkuszach papieru.

A Iggins tymczasem nie dawał znaku życia.

Ulica Lombardowa, 7.

Nareszcie o godzinie dziewiątej wszedł Iggins. Twarz jego była skupiona i zamknięta jak zazwyczaj.

Przywitał nas skinieniem głowy, usiadł, nalał sobie szklankę wisky, wypił, westchnął potężnie i w końcu przemówił:

— Dobra robota na dzisiejszą noc!

— Tak? — zdziwił się Dalton.

— Tak!

— Gdzie?

— Zaraz. Najprzód powiedzcie, coście wy zrobili?

W kilku słowach Dalton opowiedział mu rezultat naszych poszukiwań. Iggins słuchał go z nadzwyczajną uwagą, mrucząc coś od czasu do czasu. Kiedy Dalton skończył, wypił jeszcze jedną szklankę wisky i rzekł:

— Doskonale! Mam także nie złe wiadomości. Wiecie już, że Markas przed śmiercią chciał wejść w naszą służbę. Ten projekt podobał ci się Daltonie, mój chłopcze. Mnie nie bardzo.

— Dlaczego?

— Nie lubię się posługiwać ludźmi, którzy przedtem byli w policyi. Nie są pewni, niepostuszni i zarozumiali. Nie wiadomo, jaką rolę grają. Więc wahałem się.

Było to temu trzy tygodnie. Wahałem się. Chciałem się przedtem dowiedzieć trochę, jak żył ten Markas. Znam go już dosyć dawno. Wiem o nim wiele rzeczy, ale nic takiego, coby nas interesować mogło, nic takiego, coby mogło być przeszkodą do przyjęcia go między nas. Trzeba było jednak bliżej się przekonać.

A więc numer 38 śledził go przy pomocy numeru 19 i 16. Przedewszystkiem musiałem zauważyć, że Markas nie był człowiekiem dla nas, bo nawet nie spostrzegł, że jest śledzonym.

— Czy być może!

— Tak, mój chłopcze! Markas więc, jak się okazało, nic ważniejszego nie poczynił w naszej sprawie. Chodził tylko do kilku miejsc, nie rozumiałem wówczas, w jakim celu. Teraz, po tem, co mi powiedziałeś, zaczynam rozumieć. Był kilka razy na ulicy Roquette pod numerem 215 i dwa razy na ulicy Breda. Szukał tam widocznie śladów małej dziewczynki.

— Co więcej? — zapytał Dalton, widząc, że Iggins się zawahał. — Jest co więcej?

— Tak.

— Co takiego?

— Dwie rzeczy, adres i klucz.

— Jaki adres?

— Ulica Lombardowa 7 i ten oto klucz.

Iggins pokazał nam klucz duży i silny, który zapewne służyć miał do otworzenia jakichś drzwi.

— Dalej! dalej! — przynaglał Dalton.

— Markas nie odkrył nic nadzwyczajnego przez te piętnaście dni. Raz tylko udał się na ulicę Lombardową pod numer 7. Miał przy sobie ten klucz. Odkąd miał go? I skąd go dostał? Nasi ajenci nie wiedzą tego. Poszedł do stróża tego domu i powiedział mu, że ma klucz od mieszkania właściciela, który mu polecił coś zabrać stamtąd. Stróż musiał mieć jakiś rozkaz wydany, bo nic nie oponował i pozwolił Markasowi pójść na górę. Mieszkanie, gdzie Markas się udał, składało się z dwóch pokoi i małej kuchenki. Pozostał tam długo, blisko trzy godziny. Potem wyszedł stamtąd i powrócił do miasta — oto wszystko.

— A więc?

— A więc to jest klucz od tego mieszkania.

— Jakim sposobem dostał się on w wasze ręce?

— Łatwo. Jeden z moich ludzi, który śledził Markasa, zamienił ten klucz w chwili, kiedy przetrząsano jego ubranie po jego śmierci. Na miejsce tego klucza podłożył inny. Sprawiedliwości nie stała się przez to żadna krzywda.

— Cóż mamy teraz robić?

— Sprawdzić wartość tego klucza.

— To może klucz od mieszkania Markasa?

— Nie.

— Więc od czego?

— Od tego mieszkania, do którego raz poszedł Markas i zabawił trzy godziny.

— To bardzo wątpliwe.

— Być może — zaśmiał się ironicznie Iggins — ale jednak przekonać się musimy.

— Może tam ktoś mieszka i ten ktoś nie przyjmie nas chętnie.

— Nie — tam niema nikogo.

— Napewno?

— Tak. Nikt tam nie był przed odwiedzinami Markasa ani po jego przyjściu.

— A więc nie traćmy czasu.

— Tak. Nie potrzebujemy jednak iść tam wszyscy. Ty Dalton, pozostań tutaj, możesz tu być potrzebny. Ja tam pójdę z Vallorbem i przekonamy się, co zainteresowało tak silnie Markasa na ulicy Lombardzkiej.

Po chwili byliśmy już w drodze.

Nie mieliśmy zamiaru wypytywać stróża z kamienicy, którego nasi ludzie opisali jako człowieka mrukliwego i niechętnego do rozmowy. Nie mogli nawet dowiedzieć się od niego, jak się nazywał ów tajemniczy lokator, zamieszkujący mieszkanie, do którego wchodził Markas. Iggins zapukał tylko do okienka loży i pokazując klucz, zapytał stróża, gdzie się znajduje mieszkanie, na prawo czy na lewo od schodów. To wystarczyło. Stróż spojrzał tylko badawczo na Igginsa i odpowiedział:

— Na lewo.

Poczem zamknął okienko.

— Miałem słuszność — mruknął Iggins, idąc po schodach na górę.

Klucz był rzeczywiście od tego mieszkania. Iggins przekręcił go dwa razy w zamku i niskie, nieduże drzwi otworzyły się.

Zapaliłem zapałkę. Drzwi prowadziły prosto do małego pokoju, który prawdopodobnie był salonem, ale teraz był pusty zupełnie.

Zamknęliśmy drzwi i zapaliliśmy drugą zapałkę. Poczem przeszliśmy do drugiego pokoju, który był pokojem sypialnym. Rozburzone łóżko stało w jednym rogu. Przy ścianie otwarta szafa, z wyciągniętą szufladą. Zapaliłem trzecią zapałkę i krzyknąłem z podziwu.

— Tam, tam, patrzcie!

— Doskonale! — mruknął Iggins.

To, co pokazywałem Igginsowi, to była peruka, leżąca na stole. Peruka ruda, obok której leżała broda również ruda i gęsta.

To było dosyć ciekawe odkrycie!

Iggins wziął perukę ze stołu, oglądał ją długo, drobiazgowo, w końcu mruknął coś, zagwizdał i zapadł w głębokie zamyślenie.

Nie posiadałem się z niecierpliwości, ale Iggins nie przerywał rozmyślania.

Aby uspokoić się trochę, zacząłem rozglądać się po pokoju i przetrząsać wszystkie kąty.

Przekonałem się zaraz, że nie przyszliśmy tu pierwsi. Ktoś tu już był przed nami i poczynił drobiazgowe przeszukiwania w tym tajemniczym pokoju. Ktoś inny, prawdopodobnie Markas! Markas, który posiadał klucz i mógł tu dowolnie wchodzić o każdej porze!?

Nawet, jak zauważyłem, działał on bardzo pośpiesznie i bez żadnej ostrożności, nie troszcząc się, czy pozostawia jakie ślady swojego przejścia po za sobą.

Spostrzegłem, że zamek przy szafie, do którego Markas pewnie nie posiadał klucza, był oderwany przemocą. Tak samo oderwane były dwie dolne szuflady.

Tylko jedno biurko małe stało nietknięte. Zamek nie był naruszony. Dlaczego? Może Markas posiadał klucz od niego, albo też zapomniał o biurku, lub też, tak był już zadowolony z tego, co znalazł, że zaprzestał dalszych przeszukiwań?

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, był dosyć pusty, nie było w nim żadnych mebli oprócz łóżka, szafy, małego biurka, o którem właśnie wspomniałem, dwóch foteli i jednego krzesła. W szafie była bielizna bez znaków, kupiona widocznie przypadkiem w sklepie z gotową bielizną. Pozatem szczotki, grzebienie nożyczki. Na jednym z foteli leżały porzucone w nieładzie zielone spodnie w paski, żakiet czarny, zniszczony już i wytarty. Za szafą zaś odkryłem starannie owinięte kawałkiem płótna futro i płaszcz. W końcu w szufladzie szafy trzy pary obuwia, duże buty do polowania i para lakierków. Obuwie to nie było jednakowej wielkości.

Iggins przyglądał się do mnie, przeglądał uważnie wszystko, ale nie mówił nic. Po chwili powrócił do peruki i fałszywej brody, pokiwał głową, wzruszył ramionami i wyrzekł:

— Tak, tak! Oto wszystko, co pozostało po tajemniczym panu Zilu.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytałem z niemałą ciekawością.

— Mówię, że to jest wszystko, co pozostało po Zilu. Reszta, to, co było pod spodem, nazywa się inaczej i jest innym człowiekiem.

— A więc, sądzicie, Iggins, że Zil nie egzystuje wcale?...

— Kto jest właściwie Zil?

— Do dyabła, jeżeli wiem.

— Czy mamy choć jakie podejrzenia?

— To prawda!

— Same głupstwa!

— Jednakże...

— Pracujmy lepiej! — przerwał brutalnie Iggins.

Usiadł przed biurkiem i energicznem pchnięciem noża, który trzymał w ręce, podważył zamek szuflady. Był tam cały zbiór flaszeczek, słoików z gumą, wazeliny, szminek. Cały komplet do charakteryzacyi.

— Domyślałem się tego — mruknął Iggins.

— Czyście zauważyli, Iggins, różnorodność miary wszystkich butów w szafie?

— Tak.

— A ubrania?

— Także.

Usiadł ciężko w fotelu i zaczął mówić:

— Przejdźmy kolejno wszystko. Co wiemy najsamprzód o Zilu?

— X = Zil = M. S. — 27.002 — wtrąciłem.

— Tak. Dalej.

— 27.002, to numer rewolweru, znalezionego u szofera Jerzego Dambleuse. Czyżby to był Jerzy Dambleuse?

— Niepodobieństwo?

— Dlaczego?

— Jerzy Dambleuse nie mógł być pomocnikiem kata.

— Niepodobieństwo! powtarzam.

— Dobrze. Teraz idźmy dalej. Litery M. S. Czyście zauważyli, Iggins, że te znaki tajemniczego korespondenta zgadzają się z pierwszą i ostatnią literą nazwiska Markasa?

— Tak — odparł Iggins — ale to być mogą także pierwsze i ostatnie litery nazwisk innych.

— To, czegośmy tu dokonali, nie posunęło wiele sprawy naprzód.

— Dało nam to jednak pewne dowody rzeczowe. Markas znał Zila od kilku dni, a podejrzywał kogoś także od kilku dni, że jest tym Zilem. Ale tu ślad wszelki ginie.

— Czego absolutnie zrozumieć nie mogę, to znajomości, czy też związku jakiegoś kapitana de Limandoux z Zilem.

— Mylisz się chłopcze. Nic nie dowodzi, że kapitan de Limandoux znał Zila. Wogóle nie wiemy nic o sprawie Limandoux, a powodach, które popchnęły kapitana do wypisania zagadki na kopercie zegarka. Ale dzięki jemu, dzięki tej jego ostrożności zanotowania formułki X = Gil = M. S. — 27.002, wpadliśmy na trop, że sprawa Limandoux ma jakąś łączność ze sprawą Dambleuse, skoro znajdujemy na rewolwerze Jerzego Dambleuse ten sam numer 27.002. (C. d. n.)

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

18)

Tu nie tylko żywiołowy nieurodzaj zawinił, ale tu przeważnie leżała rola ugorem, bo jej nikt nie orał, nikt siać nie chciał.

— Po co? czy na to miałbym pracować w pocie czoła, by przyszły mi zabrać czerwone czarty wszystko do ostatniego ziarna.

Więc nie miało się co rodzić... A w następstwie rozboju i rabunku czerwonych rekwizytorów — nastał i głód.

— Takiego głodu sto lat nie było — mówił im jakiś starzec, przymierający na drodze, gdy się wśród pustki zatrzymali o świcie.

I oto teraz jechali przez kraj, z którego cały lud wyszedł na poszukiwanie chleba w dalszych okolicach, a w chatach pozostało jeno kilkoro chorych, wiekowych, co się ze swych barłogów ruszyć już nie mogli.

Automobil na swej drodze spotykał takie wędrówki... Szły całe wsie... wlokły się jak cienie...

Szły szukać jedzenia, bo w swoich stronach zjedzono już wszystką trawę... i na chleb wypieczono wszystek mech z makuchami...

Czasem w lesie natrafiali na gromadkę konających z głodu. Ci już nawet kory z drzewa jeść nie mogli... Mogli tylko umierać w mękach głodowych.

Potem z kolei wypadło im mijać okolice, w których wyjątkowo było do niedawna co jeść, a które wyglądały jakby przez tę ziemię przeszła szarańcza i wyżarła wszystko, zostawiwszy popioły.

— Byli tu... byli... Zdaleka przyszli, bo u siebie nic nie mieli... Przyszli, zjedli... i poszli — opowiadała im samotna starucha, na zgliszczach chaty siedząc w opustoszałej osadzie ludzkiej.

I przejechali znów w biały dzień przez miasto wymarłe.

Na placach, w rynsztokach ulic, leżały trupy niepogrzebane.

Gdzieniegdzie snuły się między nimi psy jak szkielety...

Gdzieindziej zrywało się od biesiady przy trupach stado ptactwa, automobilem spłoszone...

A wreszcie natrafili na garść ludzi żywych. Leżeli na jakimś dziedzińcu, nie wiele różniąc się od trupów. Ale na turkot maszyny podnieśli głowy, na łokciach się z trudem dźwignęli.

Podeszła ku nim Iza, pytać o to miasto wymarłe.

Odpowiedzieć im było ciężko, trudno... W nikim już sił nie było, by mówić coś więcej...

Ale i z tych strzępów słów dało się stworzyć całe dzieje tego tragicznego miasta, które w partyzantce wojny domowej raz za razem zmieniało gospodarzy przez szereg miesięcy — aż wreszcie na stałe zapanowali w niem znowu czerwoni.

Odtąd srożył się głód i mór. Ludność ginęła od cholery, tyfusu i szkorbutu.

Aż wreszcie ludziom sił brakło, by móc grzebać ciała sąsiadów.

— I ot... cisza nastaje po długiej wojnie — ledwie dosłyszalnie szeptał jakiś człowiek, widocznie inteligent. — Teraz już pokój nastanie.

— Pokój — powtórzyła Iza jak echo.

A w tem jakaś kobieta, wijąc się w bólach, podpełzła do niej, za futro się jej chwyciła i oczy podniosła w górę na jej twarz bladą.

— Powiedz ty mnie... czy to jest już koniec świata?

Głowa Izy opadła na piersi i trzęsła się przez chwilę w milczeniu, poczem na jej usta wybiegł szept cichy:

— O, tak... tego świata już koniec...

— A widzicie — jęknęła kobieta, zwracając się do leżących przy niej mężczyzn.

Wyciągnęła się... zadrżała na całem ciele... i wyzionąwszy ducha, zastygła u stóp Izy.

XVI.

Noc bezgwiezdna, otchłannie ciemna. Przepastny las dyszy z cicha.

— Jak tu strasznie... jak strasznie — szepcze Marya, zasypiając w głębi automobilu, przy którym Janek mozoli się nad jakąś naprawką.

Iza już śpi. Piotr także, pokręciwszy się w pobliżu, wrócił na swoje siedzenie i zaczyna drzemać. Tylko Julian drepcze tam i z powrotem prawie w miejscu.

— Pyszna konstrukcya — mruknął znowu młody mechanik.

— O, tak — odpowiada Julian — niezawodna.

— Z takim silnikiem mieć do czynienia, to satysfakcya — mruczy Janek.

— Jak nas złapią — odzywa się po chwili Alferow, przystając — maszyna przepadła...

Stał kilka minut w miejscu, kiwał głową, a kiedy młodzian skończył swoją robotę, przynaglił go, by przysiadł i spał. A potem odszedł od auta i zaczął przechadzać się miarowo wzdłuż drogi na przestrzeni kilkunastu kroków, mając tuż przy sobie śpiących w samochodzie.

Na niego wypadła kolej czuwania. A czuwał dziś chętnie. Nie mógłby spać. Myśli opadały go coraz inne i nie dawały spokoju.

— Tak... tak... co będzie, jeśli złapią... Bo to nic, że nam auto wezmą... byle zostawili życie!

...Auto moje przedstawia dziś wartość ogromnego majątku... To moja ostatnia własność... już mi nic nie zostało.

...A jakie to zadowolenie uczuwa się na myśl, że się już nie jest z niczem związanym... jak mi dziwnie lekko, kiedy już nie mam nic... Zabrali wszystko... inne przedtem rozdarowałem...

...Ale cóż z tego! jakiż pożytek to przyniosło?

...Tak się zrazu cieszyłem, że zdążyłem majątki ziemskie porozdawać na cele społeczne wcześniej, nim się zaczął terror czerwonych wraz z rekwizycyą, konfiskatą i całym stekiem edyktów rabunkowych.

...Tu dom dla sierót, tam dla starców... ówdzie przytulisko ślepych... A każde na wsi... ma się na miejscu czem wyżywić, z czego utrzymać... i trwać może wieczyście,

...Wszak na to swej łapy nie położą — myślałem i cieszyłem się, że to wszystko ocalało w taki sposób dla dobra publicznego.

...A tymczasem...

Serce kurczyło się w piersi Alferowa na myśl o tem, jak przeraźliwie zmarniały jego fundacye dobroczynne.

Mieli sposobność przejeżdżać automobilem przez dwa dawne majątki Alferowa. Nie mógł sobie tego odmówić, by do nich nie zajrzeć. Postanowił tak wszystkiem pokierować, by się nie dać poznać, a jednak na moment zajrzeć tam bliżej.

Zrazu badali, czy się na kogo nie natkną niepożądanego, wreszcie zbliżyli się.

Wielki dwór niegdyś zamienił Alferow na zakład dla sierot. Dziewczęta, pozbawione rodziny, a w wieku dojrzewania, miały tu znaleźć ochronę przed wielkomiejskiemi pułapkami zepsucia.

Uczono tu pracy i zaprawiano do uczciwego życia. Po kilku latach dziewczyna miała stąd wychodzić do służby z odpowiednią kwalifikacyą.

Personal wychowawczyń i nauczycielek dobrany był starannie i mógł budzić zaufanie.

Ileż pożytku mógł stale przynosić społeczeństwu taki zakład, oparty przez fundatora na pewnych i silnych podstawach materyalnych.

— Jak tam dziś wygląda? co się tu zmieniło — pytał się w myślach Julian, gdy automobil zatrzymał się przed gankiem.

Postanowili odbyć przegląd krótki, błyskawiczny, a mogli liczyć na to, że z wyglądu ich figur i maszyny będą brani za dygnitarzy upranwionych do takich rewizyi.

Ale nikt się nimi bliżej nie zainteresował. Wszyscy bowiem byli pijani.

Trafili na jakąś zabawę.

— A co to za święto u was dzisiaj? — zagadnął Janek jakiegoś staruszka u wnijścia.

— Święto? — ruszył ramionami zapytany — jakie tam święto! Tu przez cały rok nikt nie obchodzi święta... A takie święto... to jest codzień jak tydzień długi.

Przyjrzawszy się z progu wyuzdanym tańcom, cofnęli się.

Alferow przypomniał sobie zaufaną gospodynię tego zakładu, osobę o wyższych kwalifikacyach pedagogicznych, której powierzył pieczę nad swoją fundacyą. Jej się nie bał, przed nią jedną mógł zdradzić swoje incognito; niechże nam ona powie, co się tu dziś dzieje naprawdę.

Zwrócił się więc do owego staruszka, o nią teraz pytając.

Stary wyszedł z nimi na dziedziniec, poprowadził ich między zabudowania gospodarskie i w jakieś liche okienko zapukał. Tam miała mieszkać ta, o którą pytano... Z kierowniczki instytucyi społecznej strącona na posadę przymusową — pomywaczki.

Wyszła przywołana i zlękła się ich widoku. Lecz Alferow, śpiesznie uprowadziwszy ją na bok, uspokoił wyznaniem prawdy.

Wszyscy wrócili do automobilu, Julian tylko stał długo i długo rozmawiał z ową starszą kobietą sam na sam na uboczu.

Dowiedział się wszystkiego... Usłyszał aż za wiele. A wracał do swego pojazdu, mając w uszach tylko jedno; to mu dźwięczało, huczało, jakby jakiś dzwon pogrzebowy, powtarzając w nieskończoność charakterystykę, podaną przez jego dawną przełożoną:

— Dom publiczny! gorzej niż dom publiczny!

Z tem odjechali, by o kilka mil dalej zajrzeć do drugiego domu, w którym Julian umieścił w czasie wojny stu starców bezdomnych.

Jak oni tam mieli żyć, świadczyło najlepiej powiedzenie kilku pierwszych pensyonarzy tego domu, że napewno przez całe życie wielu z nich nie miało takich wygód i takiego jedzenia, jak tu na starość.

Istotnie, wszystkiego mieli tu w bród.

— Wszak dla takiego starca dzieciennialego to znaczy najwięcej: móc jeść, kiedy zechce i na co ma ochotę — powtarzał Alferow kierownikom zakładu.

Domyślał się, że kiedy w kraju wszędzie panuje gospodarka rabunkowa, musiano i tam maczać ręce po łokcie i okradać starców. Ale nie przeczuwał, by miał zastać taką ruinę swoich dobrych chęci i takie cmentarzysko smętne, na którem pogrzebano tyle szlachetnych porywów jego serca.

Najlepiej mu powiedziały o tem, jakie życie mieli pensyonarze tego domu, dwa trupy wisielców. Zastał je w jadalni, w ogromnym niegdyś salonie o wysokich oknach, w niszach.

O, nigdy Julian nie zapomni tego widoku. Ta wielka sala jadalna, która miała słodzić resztę dni dziesiątkom starców bezdomnych, wiała dziś pustką, cuchnęła śmietnikiem.

A nad nią jak żałobne chorągwie powiewały te dwa sztywne, do szkieletów podobne, ciała.

Obaj staruszkowie powiesili się na oknach z rozpaczy, nie mogąc dłużej walczyć z głodem.

I teraz w tę noc otchłannie ciemną w pośrodku mrocznych lasów przed oczyma Alferowa jawią się ci wisielcy-samobójcy, jako wymowna ilustracya, do czego doprowadziła gospodarka czerwonych rozbójników w jego niegdyś kwitnących majątkach... A w uszach jeszcze mu świszczą słowa z ochrony dziewcząt, pełnej wrzawy pijackiej, wśród rozpasanych orgii:

— Dom publiczny! gorzej niż dom publiczny!

Żal serdeczny ogarnia Juliana.

Tak wszystko na marne!

A gdyby nie to, jakże byłoby mi lekko pomyśleć, że nie mam nic swojego,e rozdarowałem wszystko... a z reszty, co miałem, ograbili mnie zbójcy po drodze...

I mogę iść z kijem pielgrzymim w ręce... hen przed siebie... coraz dalej, coraz wyżej... w słońce Prawdy... kędy powionie biały sztandar Dobra.

A tymczasem tu wiecznie z krwi oparów wstaje widmo i płaczem okrutnym zawodzi... a wokoło rozlega się przeraźliwem echem śmiech szatański.

Chwilami przystawał Alferow wśród ciszy i nadsłuchiwał. Ale puszcza wokoło dyszała jednako grcźnie.

I znowu przechadzał się, tłukąc się z własnemi myślami.

Takim nędzarzem, jak ja w tej chwili z wielkiego magnata — jest i moja ojczyzna... Nic już nie ma... Ograbiono ją z wszystkiego...

A takim nędzarzom, którzy już nic własnego nie mają na ziemi, bywa zazwyczaj łatwiej o zbawienie duszy, aniżeli bogaczom.

— Boże... Boże.. — powtarzał raz za razem Alferow wśród ciemnicy. — Czy to możliwe?... Wszak gdybyś zechciał, Panie, przebaczyłbyś jej winy... i duszę jej zbawił... Boże! wejrzyj na moją nieszczęsną ojczyznę...

Stał tak Alferow przez długą chwilę wpatrzony w wielką ciemność nocy... Gdy naraz doznał wrażenia, że nieopodal coś się w puszczy zaśmiało głosem szatańskim. Zadrżał na całem ciele. Głos się powtórzył. Chichot — czy wycie...

I przypomniały mu się słowa Maryi przed zaśnięciem:

— Jak tu dziś straszno...

(Ciąg dalszy nastąpi).

EMIL PESCHKAU.

PIEGI.

Wieś Weudel w pobliżu Berna, była przed wiekami siedzibą rycerzy szlachetnego rodu Weudelstein. Na wzgórzu, piętrzącem się ponad wsią, widniał na pół zrujnowany zamek, z którego zacni ci panowie wyprawiali się po łupy i inne zyski rycerskiego rzemiosła. Teraźniejszy posiadacz zamku z przyległościami zwie się wprawdzie również baronem Weudelstein, lecz w żyłach jego nie płynie krew dawnych panów. W młodości bowiem znano go pod nazwiskiem Lewi'ego, giełda zaś, nie wyprawy zbójeckie, dostarczyły mu środków do życia. Gdy z biegiem czasu uzyskał szlachectwo, przybrał przydomek „von Weudelstein". Później jeszcze zaniechał nazwiska „Lewi" i odtąd zwał się tylko: Serafin baron Weudelstein. Na zamek zjeżdżał raz do roku, by polować przez kilka tygodni w jesieni. Ciągnął ze sobą wozy, pełne nieprzemakalnych ubiorów myśliwskich, strzelb przeróżnego rodzaju i olbrzymiej ilości ładunków. Miał się obawiać czego biedny zwierz leśny! Przez cały rok zresztą mieszkał w Wiedniu na Ringstrasse, gdzie miał własny pałac, lub w ładnej, stylem gotyckim budowanej willi w Vöslau, w zamku zaś panował samowładnie rządca p. Mislowicz wraz z swą córeczką Anulką. Miał on brata daleko, bo aż w Banacie, również rządcą dóbr, należących do hr. Terkely; brata tego niebiosa obdarzyły synem, studyującym już od pół roku chemię na wiedeńskiej politechnice. Było więc rzeczą całkiem naturalną, że siostrzeniec podczas pierwszych wakacyj — była to Wielkanoc — odwiedził nieznanego sobie jeszcze stryja. Puścił się na tę wycieczkę tem chętniej, iż towarzyszył mu w niej kolega, Franciszek Wellisz, rodem z Berna, znający Morawy jak swoją kieszeń.

Obaj młodzieńcy, ku wielkiemu zadowoleniu gospodarzy, ożywili jednostajnie spływające na Weudelsteinie dni, sami znowu znaleźli wszystko nadspodziewanie lepiej. Zamek był wcale pokaźną siedzibą, a zrujnowana jego część z zapadłymi murami, łukami śmiało w górę strzelającymi, wieżami, kryjówkami i podziemnymi gankami, podsycała wyobraźnię i stanowiła teren zajmujących poszukiwań. Te ostatnie dawały sposobność do opowiadania rozmaitych, pełnych tajemniczości baśni, a sprawiających pewne wrażenia w czasie księżycowej nocy u stóp ruin. Nie brakowało i innych rozrywek. Wędrowano po dużym lesie, otaczającym wieś, wdrapywano się na wzgórza i nadawano im rozmaite nazwy, jak: pagórek Anulki lub Lewi'ego; wreszcie urządzano zabawy na dużym zamkowym dziedzińcu i zapraszano na nie z całej okolicy wesołą młodzież obojga płci.

W tych wszystkich rozrywkach Anulka zajmowała pierwsze miejsce, a zarówno Robert jak i Franciszek nadskakiwali jej, o ile możności; pierwszy atoli, z natury bardziej w sobie zamknięty, nie stanął z kuzynką na tak poufałej stopie, jak drugi, śmielszy i żywszy. Kuzyneczka ta była milutkiem dziewczątkiem, obdarzonem ową chwytającą za serce naiwnością, o której Morawiacy twierdzą, że jest wrodzoną tylko dziewczętom ich kraju. Miała swój rozumek i pewne wykształcenie, a przecież była niekiedy tak rozkosznie głupiutką, że gdyby nie jej czysty wzrok i poważny wyraz twarzy, możnaby ją posądzić o komedyę. Wesoła i swywolna, lecz nie lekkomyślna, z łatwością zmieniała srebrzysty śmiech w gorące łzy i naodwrót. Milutkie dziecko, rozumiejące się na żartach, nie żałowało całusa, gdy trzeba było wykupić fant. Był to zmysł prosty i czysty, nie pogardzający bynajmniej tańcem, lecz i nie zaniedbujący pacierza, szczerze pobożny, niezachwiany w wierze, pomięszanej nieco z przesądami.

Pewnego popołudnia spoczywał Robert w cieniu wieżycy, obrośniętej bluszczem. Rozmarzony spoglądał to na dymek, wydobywający się z zapalonego cygara, to na sinawe obłoczki, przeciągające tu i ówdzie po lazurze niebios. Niekiedy otrząsał się z zamyślenia i zwracał wzrok na rozległy krajobraz lub też na założony u stóp wieży miluchny ogródek. Nie było w nim nic szczególnego, a przecież regularne trawniki, ładnie obcięte krzewy bukszpanu, tworzące płot naokoło kwater, ścieżyny wysypane białym piaskiem i tu i ówdzie rozkwitający pączek, miłe sprawiały wrażenie. Mimowolnie przyszła na myśl Robertowi Anulka: ona również dla swej prostoty i naiwności jest czarującą dziewczynką, jakiej nie spotkał dotychczas. Podniecona jego wyobraźnia tworzyła z dymu najrozmaitsze — ulotne niestety — obrazy. Przyjemne to zajęcie przerwał mu nadchodzący ze dworu Franciszek, który oświadczył, że do poobiedniej drzemki nie czuje najmniejszej ochoty; dlatego chciałby nieco pogawędzić. Rozumie się — dodał — jeżeli ci nie przeszkadzam w twoich marzeniach.

— Ależ bynajmniej — brzmiała odpowiedź, ton jednak głosu zdradzał nieprawdę. Franciszek zauważył przeto ironicznie:

— Zresztą nic nie szkodzi, chociażbym ci nawet przeszkadzał. Wszelkie marzenia są bezowocne. Jeżeli się kochasz, dlaczego jej tego nie wyznasz?

— Ja — miałbym się kochać? — zawołał Robert, a lekki rumieniec pokrył mu lica. — Któż to coś podobnego nabajał?

— Nikt nie potrzebował mi o tem mówić, spostrzegłem sam. Lecz przebaczam ci, gdyż Anulka jest śliczną dziewczynką.

— Cóż znowu!

— Nie jesteś mego zdania? A ja sądziłem, żeś zakochany po uszy.

— To źle sądziłeś.

— Daję słowo, że mam słuszność. Czy myślisz, iż nie spostrzegłem, jak ty się w nią ustawicznie wpatrujesz? Możesz zaprzeczyć? Cóż tam znajdujesz na jej twarzy tak ładnego, że i na chwilę nie spuszczasz jej z oka, skoro razem jesteście.

— Przecież nie jej piegi! — odpowiedział Robert z uśmiechem.

— Piegi? Nie spostrzegłem tego. Miałażby je rzeczywiście?

— I jakie jeszcze! Przyjrzyj się jej tylko dobrze, to znajdziesz pod oczyma olbrzymie... Tak. tak Franiu, ten twój krótki wzrok często ci szkodzi. Nie zapomnij nawdziać na nos szkieł, nim się chcesz zakochać, gdyż pewnego pięknego ranka mógłbyś spostrzedz, że zamiast żony poślubiłeś wielką wielką plamę wątrobianą... No, a teraz, gdy obydwaj nie możemy spać, chodźmy się przejść. Na szczęście znalazłem także dwa stare rapiry, więc pofechtujemy się nieco.

Zaledwie obydwaj przyjaciele ruszyli z miejsca, otworzyły się powoli drzwi wieży i ukazała się w nich główka Anulki. Skoro spostrzegła, że Franciszek i Robert zniknęli na zakręcie, wyszła czemprędzej, przebiegła ogród i wpadła do swego pokoiku. Z niezwykłą szybkością pochwyciła stojące na komodzie lusterko, stanęła do światła i popatrzała weń. Nie zwracała jednak uwagi ani na na ładny owal twarzyczki, ni na zgrabny nosek, ślicznie zakrojone usteczka, lub dołki w podbródku i brunatne loki, otaczające jej czoło; nie spostrzegła łez, błyszczących się w wielkich błękitnych oczach; widziała tylko plamki, które szpeciły nos i policzki. Dawniej nie zważała na nie i bynajmniej nie frasowała się niemi. Wiedziała, że natychmiast, gdy ostatnie śniegi stopnieją na szczytach gór, każdy dzień gorący dodaje do nielicznych plamek coraz nowsze; wiedziała, że są to piegi, nie myślała jednak nigdy, że te piegi szpecą. Dzisiaj po południu zamiast, jak zazwyczaj, u siebie w pokoiku, odpoczywała w wieży, skracając sobie czas czytaniem i pończoszką, tam zakryta murem słyszała rozmowę obu młodzieńców. I ten kuzyn, któremu tak ufała, którego tak lubiła, ten kuzyn szydził z niej, wyśmiewał i wytykał jej piegi. To oburzające!

Od tej chwili zmienił się znacznie stosunek wszystkich osób do siebie. Anulka stroniła od zabaw, a jeżeli już musiała wziąć w nich udział, to była względem Roberta zimną i obojętną, gdy przeciwnie Franciszka jawnie kokietowała. Wypływające stąd sceny zazdrości dawały powód do nowych niesnasek. Pan Mislowicz był niezadowolony, gdyż studenci nie słuchali już tak uważnie opowiadań z jego żołnierskiego życia; stara Marysia zaś, i tak niechętna owym odwiedzinom, wszystkiemi siłami starała się o podsycanie zobopólnego rozdrażnienia. Robert nieco wrażliwy z natury, spostrzegłszy chłód gospodarzy, postanowił wrócić do domu. Przy obiedzie, objawiając swój zamiar, bacznie obserwował Anulkę. Obojętnie bawiła się gałeczkami chleba. — Kokietka — pomyślał, obrażony do żywego. Nasamprzód ja byłem ofiarą, później Franciszek, teraz cieszy ją odjazd nas obu. Dopiero przy pożegnaniu zmiękł nieco i chciał pytać się, czy jest zagniewaną na niego. Spostrzegłszy atoli, że Franciszkowi podała całą rękę, a jemu tylko dwa palce — milczał.

Na szczycie tej samej wieży, w której podsłuchała Anulka młodych przyjaciół, siedziała obecnie i w lękliwem oczekiwaniu patrzała na drogę. Teraz wyszli z lasu; ona, mając wzrok dobry widziała raz jeszcze twarz Roberta. Potem odwrócili się i rześko maszerowali drogą. Anulka ścigała ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli, a potem upadła na ławkę i zapłakała — z boleści i gniewu.

Po tych wypadkach zmieniła się nie do poznania. Wesołość znikła, upór zaś i kaprysy panienki, dawniej tak sprawiedliwej i łagodnej, dziwiły całą służbę. Przesalała zupę, kładła chleb na stół odwrotną stroną i rozbiła lusterko; wszystko to niezmiernie przestraszało Marysię, gdyż nigdy jeszcze tyle złych znaków nie zeszło się razem. Anulka smutek zagłuszała gniewem i wmawiała sobie, że Robert jest jej obojętnym i tylko przez swoje szyderstwo ściągnął jej gniew na siebie. Nie chciała myśleć o kuzynie, a coraz bardziej za to przychodziły jej na myśl — piegi. Ach! gdyby się ich pozbyła, a Robert błagał wtenczas o wzajemność, z jakiem szyderstwem — — — Jaka szkoda, ze to piękny sen tylko! Jaka szkoda, że nie może się zemścić! Jaka szkoda, że nie ma żadnego środka przeciwko piegom! Czy rzeczywiście niema żadnego? Stara Marysia, umiejąca na wszystko znaleźć lekarstwo, i tutaj potrafi pomódz.

Na pomarszczonej twarzy starej gospodyni zawisł uśmiech, gdy usłyszała żądanie Anulki. Więc to ta okoliczność rozstraja panienkę? Ależ temu można nader łatwo zapobiedz.

Objaśniła zatem panienkę, co ma uczynić, by pozbyć się piegów. Twarz należy obmyć rosą; następnie z brzozową gałązką w ręku iść tak długo, dopóki nie napotka się pierwszego ładnego chłopca. Wtenczas trzeba prędko go pocałować — o co z pewnością nikt się nie rozgniewa — a szkaradne piegi znikną wkrótce na zawsze.

Anulka wierzyła wszystkim baśniom, któremi karmiono ją od dzieciństwa! Była przekonaną, że zjedzony rankiem w nowy rok wieprzowy ozór przynosi szczęście i że wróży się zła przygoda, jeżeli kto rozbije zwierciadło; przy nadchodzącej pełni, obcinała sobie końce włosów, a w piątek nie robiłaby coś ważniejszego za nic w świecie, również nosiła przy sobie dziurawy cent na szczęście — sposób usunięcia piegów atoli wydawał się jej nieco za śmiały.

Starą Marysię gniewały podobne wątpliwości. Czyż nie radziła jej przed kilku miesiącami brodawkę na ręce przewiązać nicią i zakopać następnie tę ostatnią pod rynną? I czy ją w ten sposób nie wyleczyła? Anulka potwierdziła główką. Pocałunek więc będzie również skutecznem lekarstwem przeciwko piegom. A zresztą niema w tem nic niebezpiecznego, można w końcu prędko uciec, a każdy młodzieniec zachowa w pamięci całe to zdarzenie jako nader miłą awanturkę. Takiego całusa nikt nie może wziąć za złe, jak nikt nie bierze za złe całusa za fant. Na taki może się odważyć najcnotliwsza dziewica; ona sama przecież choć posiwiała w panieńskim stanie, za swych młodych lat nie zawahała się się przed nim. I od tej chwili piegi nie szpecą jej twarzy, jak o tem każdy się może przekonać.

Teraz Anulka nie wątpiła o skuteczności doradzanego jej sympatycznego środka, zwlekała jedynie jego wykonanie. Lecz w końcu pozbycie się piegów i zemsta nad Robertem warta więcej, aniżeli jeden całus. Kilku ładnych chłopców, jacy byli we wsi, należało do koła jej znajomych i każdego z nich pocałowała przy fantach już nieraz. Cóż to więc nadzwyczajnego? A zresztą krok ten należał do rzędu awanturek i psot, które tak lubiła. Na tę myśl zaśmiała się głośno i wesoło, smutek ulotnił się niespodziewanie, a z wielkich, błyszczących oczów przeświecała radość — —

Nazajutrz przecież ponownie zabrakło odwag[i]. Przyrzekła jednak sobie samej, że czynu dokona więc słowa nie złamie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Najwyższy czas, aby rozpocząć wakacye, gdy Sierpień ma się już ku połowie, a przesilenie gabinetowe skończyło się jakoś szczęśliwie z chwilą, gdy profesor Nowak objął ster rządów Państwa i ma zamiar jego nawę prowadzić silną ręką wśród rozhukanych sejmowych bałwanów, co mu przyjdzie tem łatwie, iż posłowie rozjeżdżają się także na wakacye, na które sobie w całej pełni zasłużyli. Prawie przez cztery lata darli ze sobą koty, szarpiąc się wzajemnie, w ostatnim roku nieporozumienia między partyami, uważającemi się za najważniejsze i będącemi liczebnie największemi, doszły do punktu kulminacyjnego, a te wszystkie przemówienia, jakie wygłoszono w Sejmie, choćby tylko od chwili wejścia na porządek obrad sprawy monopolu tytoniowego, gdyby się udało zamienić na siłę wiatru, możnaby przy jego pomocy wprawić w ruch i w nim utrzymać bodaj przez rok tysiące wiatraków, które z pewnością przyniosłyby krajowi większy pożytek, niż nasze polityczne wiatraki, wiatru nie potrzebujące, wytwarzają go bowiem same i to w nadmiernej ilości.

Prezydent Nowak wygłosił już wobec Sejmu swój program polityczny, który przyjęto znaczną większością głosów, kuracya, jakiej zamierza poddać nasz organizm państwowy, ma być, wedle jego zapowiedzi, radykalną, t. j. usunąć przyczyny choroby a nie ograniczyć się do tłumienia niektórych jej objawów. Jako lekarz i weterynarz w jednej osobie, zna prezydent Nowak dobrze różne metody leczenia, co zaś najważniejsze, przyzwyczajony jest z dotychczasowej swej praktyki pacyentów swoich o nic się nie pytać. Oczywiście na pierwszy plan wysunąć się musiała sprawa naszych finansów, które są najdotkliwszą bolączką, dającą się wszystkim we znaki. Maszyny państwowe tłuką wprawdzie bez wytchnienia coraz to nowe miliony, pomagają im i różne fabryczki prywatne, wszystko to jednak nie wystarcza. Budżet nasz jest dziurawy, niczem sito, z dnia na dzień przybywa mu coraz więcej otworów, pan Jastrzębski będzie miał zatem piękne pole do popisu. Przyobiecał on, że postawi go na nogi, czy zaś dopełni zobowiązania, to dopiero dalszy ciąg pokaże. W każdym razie różne stronnictwa śpią spokojnie, nie obawiając się, że ich przeciwnicy dostaną może z kas państwowych jakąś zapomogę na przeprowadzenie wyborów, bo kasy te są próżne, a z próżnego nie tylko pan Jastrzębski, ale nawet i Salomon nie naleje. Kto dotąd na ten cel nie potrafił cośkolwiek uszczknąć, musi się pożegnać z nadzieją, że uda mu się to obecnie.

Gdy to piszemy, Sejm warszawski obraduje jeszcze, są to jednak ostatnie akordy, pozbawione większego ożywienia, część posłów bowiem, załatwiwszy się z przesileniem i pobrawszy dyety, rozjechała się, jedni na żniwa, drudzy na wakacye, a wszyscy razem, aby przygotować sobie powoli grunt przed nowymi wyborami, bo, niech tam sobie mówi kto chce, co chce, stanowisko posła to kąsek wcale smaczny, nie wymawiający wiele pracy, a dający znaczenie i wcale przyzwoite dochodziki. Warto zatem pomyśleć o tem, aby na zimę wrócić znów do sejmowej sali, zwłaszcza że i życie warszawskie jest wcale wesołe i nie do pogardzenia.

Temu i owemu spędza jednak sen z powiek ta fatalna przepowiednia *Kuryera Codziennego*, która od czasu do czasu przypomina o końcu świata, zapowiedzianym na Sierpień b. r. przez jakiegoś amerykańskiego astronoma. Głównem centrum katastrofy ma być podobno Budapeszt i jego okolica, gdzie dzięki staraniom Czechosłowacyi, Jugosławii, Rumunii i Niemieckiej Austryi ma równocześnie wybuchnąć nie mniej nie więcej, tylko siedmdziesiąt wulkanów, skutki będą zaś tak straszne, iż pomijając trzęsienie ziemi jakie da się odczuć nawet w Afryce, świat cały przewróci koziołka i pewnego pięknego poranku ani się spostrzeżemy, jak się obudzimy nieboszczykami.

Jest to wprawdzie amerykańska wiadomość i ostrożna redakcya *Kuryera* nie przyjmuje za nią odpowiedzialności, nie jest jednak wykluczonem, że i Amerykanin może czasem powiedzieć prawdę. Skutki tej przepowiedni są już dzisiaj widoczne. Premier Poincaré nie może się zdecydować na wyjazd do Londynu, Niemcy wzbraniają się płacić odszkodowanie wojenne, bo i pocóż się o to wszystko kłopotać, gdy koniec świata już za granicą znacznie osłabł.

Petruszewicz natomiast porusza wszelkie sprężyny, aby jeszcze przed końcem świata widzieć samodzielną Zachodnią Ukrainę, a król grecki Konstantyn chciałby koniecznie oglądać koniec świata z wysokości tronu cesarzy bizantyjskich. Wszystkie te sprawy razem wzięte i każda z nich z osobna niepokoją w wysokim stopniu polityków, nie wiedzących właściwie co robić, z jednej strony bowiem powiada im głos wewnętrzny, że szkoda sobie tem zawracać głowę, skoro dziś lub jutro będzie już po świecie, z drugiej jednak budzi się refleksya, a nuż to tylko Amerykański humbug, obliczony na napędzenie strachu Europie, nie chcącej Ameryce spłacać swych wojennych zobowiązań.

Zupełnie tak samo kombinują sobie nasi kandydaci do ław poselskich i senatorskich. Tym żal przedewszystkiem wydawać przedwcześnie pieniądze ciężko zarobione na agitacyę wyborczą, która wobec końca świata może być zupełnie bezprzedmiotową, gdy do tego, jak na złość kiełbasa, będącą jednym z najskuteczniejszych argumentów wyborczych, podrożała szalenie i w dalszym ciągu drożeje z dnia na dzień. Samą kiełbasą trudno przemawiać do przekonania wyborców, potrzebne są do tego i „płynne argumenty“, a tu poczciwą naszą kaftofiankę sprzedaje się na wagę złota, piwo w najbliższym czasie ma znacznie podrożeć, a na domiar wszystkiego ogół cieszy się coraz lepszym apetytem i nie tak łatwo dającem się ugasić pragnieniem. Wogóle wybory stały się obecnie bardzo kosztowne. Znamy naprzykład z przed wojny wypadek, iż pewien kandydat, aby sobie zapewnić poparcie wyborców, nie bawiąc się w dłuższe z nimi rozhowory ze względu na to, że czas jest drogi, wręczył każdemu po dwadzieścia koron tytułem zwrotu kosztów za fatygę, iż udadzą się do urny wyborczej. Skutek był zupełny, ten sposób przemawiania do s rc i rozumów drogą na kieszeń okazał się daleko skuteczniejszym, niż najkwiecistsze oracye, których zgromadzeni albo nie słuchają, albo nie rozumieją. Dziś stosować tą metodę trudno, w najbardziej bowiem zapadłym kątku kraju każdy obywatel wyborca potrafił zebrać taką moc marek, że wrażenie na nim mógłby zrobić chyba milion i to nie w walucie papierowej, zdaniem jego wartości nie mającej, lecz w złocie lub srebrze. Kandydowanie w tych warunkach jest zatem bardzo utrudnione i nie należy wątpić, że wielu z dotychczasowych kandydatów zniechęci zupełnie do ubiegania się o zyskanie sobie zaufania współobywateli.

Agitacya w każdym razie już się rozpoczęła, zwłaszcza stronnictwo ludowe z pod znaku Piasta rozwija na całym obszarze ziem polskich bardzo ożywioną działalność, której jednak uczciwie myślący człowiek w żaden sposób nie może pochwalić. Mamy tu na myśli w szczególności postępowanie piastowców we Wschodniej Małopolsce, gdzie działają otwarcie na szkodę żywiołu polskiego, łącząc się z ludnością ruską pod hasłem „walki z panami“. Jeśli się zaś zważy, że w tych okolicach tak zwanych „panów“ tworzą przeważnie Polacy, łatwo zrozumieć, w jakiem miłem znaleźli się położeniu, mając przeciwko sobie nie tylko Rusinów, lecz także i swoich, nie baczących na środki, mające ich zawieść do upragnionego celu. Tego rodzaju polityka musi się zemścić i to w najbliższym czasie. Zamiast stawać tam zgodnie ręka w rękę do obrony naszych praw, własnowolnie podstawiamy sobie nogę, a potem dziwimy się, gdy się ten lub ów przewróci. Politycy z pod znaku Piasta, tak głośno reklamujący nieraz swój patryotyzm, powinniby raz przecież zrozumieć jaką przez swą zachłanność, by ująć ster rządów w swe ręce, wyrządzają szkodę całemu narodowi i to przedewszystkiem w okolicach, gdzie grunt pali się nam poprostu pod nogami. Cóż to jednak może obchodzić tych panów, skoro ich dążeniem zdobycie jak największej liczby mandatów za jakąkolwiek bądź cenę.

Sprawa Wschodniej Małopolski musi być w najbliższym czasie definitywnie załatwioną, w tych bowiem warunkach, jakie tam obecnie istnieją, przeprowadzenie wyborów byłoby niemożliwe, na razie bowiem była wschodnia Galicya jest jedynie pod militarną okupacyą Polski, o losie jej zaś mają rozstrzygnąć mocarstwa sprzymierzone, tym zaś bynajmniej się nie spieszy, zwłaszcza że nasza dyplamacya na nie zbyt nie nalega, gdy ukraińska natomiast rozwija w całej pełni swą krecią robotę, zwłaszcza zaś w Londynie, gdzie przebywa wielki prorok Lloyd George, uważający za swe wyłączne prawo decydowanie o losach wszystkich ludów. Mieliśmy przykład jego życzliwości już nie jeden i obecnie możemy być przekonani, że on będzie pierwszy, z tych, którzy odmówią nam prawa do tej ziemi, a umotywuje to bardzo mądrymi wywodami, których jako adwokat, posiada pełne zanadrze.

Wogóle o ludowcach z pod znaku „Piasta“, których głównym ośrodkiem są okolice Tarnowa, wyrażają się niezbyt pochlebnie nie tylko mieszkańcy naszego kraju, ale także i przedstawiciele Amerykańskiej Kolonii. Przekonaliśmy się o tem z listu jednego z naszych Czytelników w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, który nawiązując do naszej kronikarskiej wzmianki o braku jedności i zgody pomiędzy mieszkańcami byłych trzech zaborów, dodaje od siebie, że zupełnie to samo, co w kraju, daje się zauważyć i na obczyźnie, że i na terenie amerykańskim aż nazbyt widoczne są tarcia pomiędzy poszczególnemi grupami naszych emigrantów, co wpływa bardzo ujemnie na powagę Polaków w oczach tamtejszej ludności. Zastrzegając się z góry, że nie występuje *pro domo sua*, gdyż pochodzi z wschodnich kresów, oświadcza zupełnie jasno i otwarcie, że największym mirem w Ameryce cieszą się emigranci polscy pochodzący z byłego zaboru pruskiego, do nich należy dwóch polskich „kongresmanów“. Najmniej sympatyi zdobyli sobie natomiast wychodźcy z byłej Galicyi, w szczególności zaś, (własne słowa naszego informatora), mieszkańcy okolic Tarnowa i Dąbrowy. We wszelakiego rodzaju warcholstwie są oni zawsze pierwsi, a takich sąsiadów zrównoważeni mieszkańcy Ameryki zupełnie sobie nie życzą i na każdym kroku dają temu wyraz. Jeśli oni sobie nie życzą, to tembardziej i my nie pragniemy bynajmniej ich powrotnej fali, choć bowiem przywiozą ze sobą nieco dolarów, z których prócz nich samych i rozmaitych aferzystów, nikt nie skorzysta, wniosą w nasze stosunki jeszcze więcej, niż jest dotychczas chaosu i dezorganizacyi. A tych niestety, coraz więcej i choć nie jesteśmy bynajmniej wielbicielami byłego austryackiego urzędowego bączka i idącego z nim w parze schimmla, z ręką na sercu musimy stwierdzić, że pod tym względem nic się u nas nie poprawiło, owszem, jest jeszcze gorzej, niż było dawniej. Za owych zaborczych czasów funkcyonaryusze władz okazywali stanowczo więcej energii i gorliwości służbowej, ogół zaś poszanowania dla istniejących ustaw. Z chwilą, gdy uzyskaliśmy samodzielność polityczną, przypomniano sobie owo nieszczęsne przysłowie „Wolno w Polsce, jak kto chce“, które na niegdyś zgubiło.

Dziś powtarza się zupełnie to samo co było dawniej, z tą chyba zmianą, że wówczas mówiono, iż Polskę zgubili panowie, dziś zaś śmiertelny cios chcą jej zadać chłopi, co zresztą przewidział już w swych przepowiedniach, Wernyhora.

Na zakończenie, aby trochę rozruszać Czytelnika musimy sięgnąć do innej beczki, w którą jednak zaglądniemy, w żadnej nie można znaleść nic takiego, co mogłoby rozradować ducha i pozwoliło spokojniej patrzeć w przyszłość. Trochę ruchu wywołał w Krakowie incydent, przypominający dawne czasy, o których zdawało się, że już zapomnieliśmy, iż pałką i pięścią starano się przekonywać przeciwników politycznych. Powtórzyło się to obecnie w sali Rady Powiatowej, do której zwołali zgromadzenie polityczne narodowi demokraci, przeciw którym wystąpili „czynnie“ socyaliści. Kto wie, czy zajście to nie jest przedsmakiem zbliżającej się agitacyi wyborczej, która miałaby być prowadzoną w tym tonie.

której wchodziło kilkanaście klasztorów ze szpitalami, ogranicza się dzisiaj na pięciu, z tych dwa znajdują się w Małopolsce (Kraków, Zebrzydowice), dwa na Śląsku (Cieszyn, Bogucice), jeden w Poznańskiem (Marysin).

W czerwcu b. r. odbyła się w Krakowie pierwsza Kapituła polskiej Prowincyi, na której dokonano wyboru Prowincyała i przeprowadzono organizacyę Prowincyi. Prowincyałem wybrany został dotychczasowy Delegat Prowincyi dla Polski i przeor krakowskiego Konwentu O. Jacek Misiak. Siedzibą Prowincyała będzie odtąd Kraków, tutaj także pomieszczono nowicyat dla chcących wstąpić do zakonu, którego celem pielęgnowanie chorych.

Równocześnie dokonano wyboru następcy O. Misiaka na stanowisku przeora krakowskiego Konwentu, a został nim O. Eustachy Mikołajewski, od grudnia 1921. definitor Prowincyi.

O. Eustachy Mikołajewski, potomek szlacheckiej rodziny, urodził się w r. 1875. w powiecie Szamotulskim (Poznańskie). W r. 1895. wstąpił do Zakonu Braci Miłosierdzia, gdzie w r. 1898. złożył pierwsze śluby, a w r. 1900. uroczyste. Pracował kolejno, jako podlekarz i aptekarz w różnych konwentach zaboru pruskiego, między innymi w Wrocławiu, Lilienthalu (pod Wrocławiem), Pilchowicach, Prudniku i Marysinie. Wszędzie rozwinął bardzo pożyteczną i owocną działalność samarytańską, która nazwisko jego zapisała we wdzięcznej pamięci cierpiących, dla których był prawdziwym ojcem i dobrodziejem. Znano go z tego szeroko w Poznańskiem, to też, gdy śp. Arcybiskup Stablewski zapadł poważnie na zdrowiu, pielęgnacyę chorego powierzono Bratu Mikołajewskiemu. Również i w wielu magnackich i szlacheckich dworach Poznańskiego korzystano z usług niestrudzonego pielęgniarza chorych, spełniającego swe obowiązki z całem oddaniem się szczytnemu zawodowi.

Przy tworzeniu samodzielnej polskiej Prowincyi Braci Miłosierdzia mianowany został O. Mikołajewski definitorem, a w dniu 11. czerwca b. r. objął stanowisko przeora w Krakowie.

W dniu 15. sierpnia b. r. obchodzić będzie O. Mikołajewski dwudziestopięciolecie swego zakonnego życia, tak dotąd zasłużonego w spieszeniu z pomocą najnieszczęśliwszym.



Odsłonięcie pomnika „Marsylianki" w Strassburgu: Uroczystość odsłonięcia w dniu 14 lipca b. r.

Pokojowa praca kulturalna
w pułkach podhalańskich w N. Sączu

Nie dla czczej czyjejś pochwały, nie dla humbugu, ale dlatego, by społeczeństwo wiedziało, co też armia jego robi poza godzinami zajęć czysto wojskowych, jakie korzyści mieć będzie to społeczeństwo z wysłużonych żołnierzy, gdy oni szeregi opuszczą, by uwydatnić niesłychaną różnicę między żołnierzem naszym w armii narodowej, a tym samym żołnierzem w armii zaborczej, zamieszcza pismo nasze od czasu do czasu artykuły o kulturalnej pracy pokojowej w armii. Praca ta nie jest to rzecz ani błaha, ani też robienie z woiska szkoły, lecz jest to dążenie do uświadomienia narodowego żołnierza przez odpowiednią naukę. Nie kula i więzienie ma być bodźcem do czynu dla polskiego żołnierza, jak to było w armiach zaborczych, lecz wzbudzona w duszy jego miłość Ojczyzny i wyrobione na wzorach historycznych postaci bohaterów naszych poczucie honoru żołnierza polskiego. Kulą i bagnetem żołnierza naszego ma kierować umysł i serce jego, oddane Ojczyźnie, a nie obawa przed karą. Bez nauczania odpowiedniego do celu tego nie dojdziemy i dlatego w wojsku rozwija się intenzywna praca oświatowo-kulturalna.

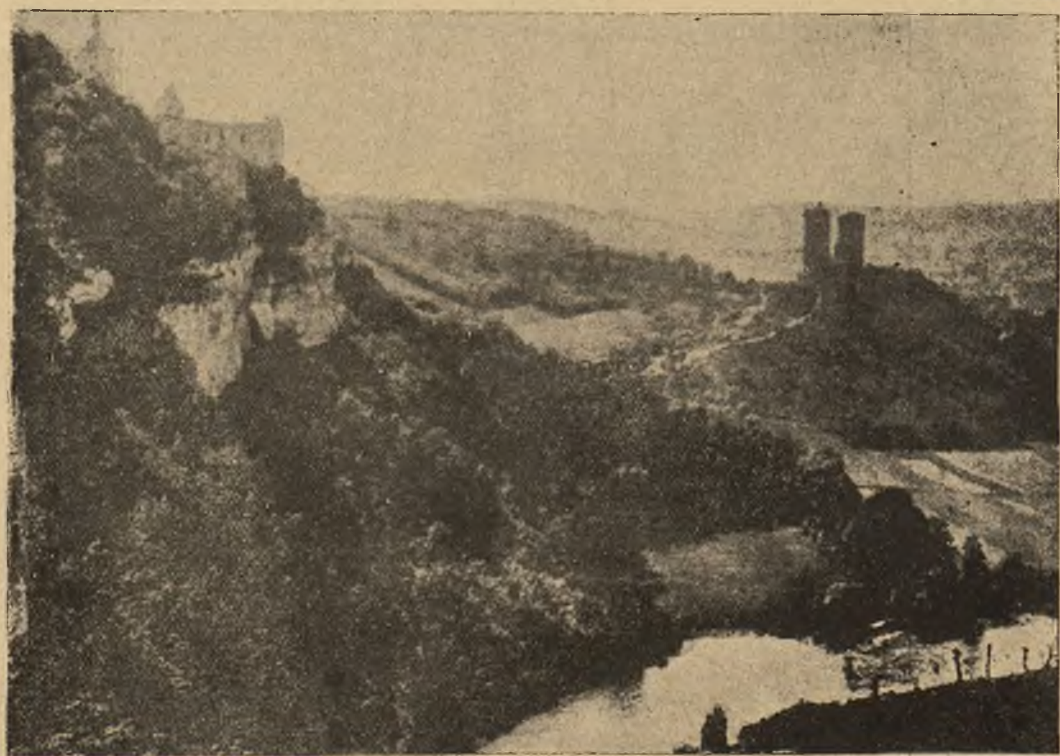
Od pierwszych chwil wolnej Rzeczypospolitej przoduje w pracy tej I. dywizya górska w ogólności, a 1. pułk strzelców podhalańskich i 1. pułk art. górskiej w szczególności. Od roku w garnizonie w N. Sączu oprócz wykładów ogólno kształcących prowadzone są kursa dokształcające w za-



Zjazd b. członków i wychowanków Tow. Terminatorów im. św. Stanisława Kostki we Lwowie: Uczestnicy Zjazdu (1. Ks. Arcybiskup dr J. Bilczewski, 2. ks. kan. K. Dziurzyński, 3. W. Leńczak, 4. ks. kan. A. Warszylewicz, 5. ks. J. Figura).

kresie kilku klas gimnazyalnych i szkoły wydziałowej. W czerwcu b. r. po 9-miesięcznej nauce złożyli egzamin z 4 klas niższych gimnazyalnych następujący podoficerowie i szeregowcy: sierżanci: Bojanowski Wł., Budz Michał, Ciastoń Piotr, Kuzak Adam, Kuzak Tadeusz, Liebel Hipolit, Olearnik Michał, Osiowski Jan, Osiowski Mieczysław, Pawlik Michał, Różycki Władysław, Sieradzki Józef, Triebling Eugeniusz, Zemla Aleksander; plutonowi: Nowacki, Waszkowski; plutonowi: Kubica Józef, Zawidzki Bolesław; st. szeregowcy: Osiowski Maryan, Płachta Roman, Dworski Michał.

W nadchodzącym roku szk. 1922/23 utworzone zostaną, dzięki poparciu dowódcy garnizonu w N. Sączu, pułk. Jerzego Dobrodzickiego, dwa kursa tamże, z czterech i z sześciu klas gimnazyalnych dla szeregowych tamtejszego garnizonu.



Jeszcze o mordercach Rathenau'a: Ruiny zamku Saaleck obok Cösen w Saksonii, gdzie kryli się mordercy Rathenau'a, Fischer i Kern.

Brzeziński Tadeusz, Fajferek Józef, Lisiogórski Karol, Morawa Józef, Schylszeiber Leib; kaprale: Kaszuba Stanisław, Zelek Stanisław; st. szereg.: Czerniawski Jan, Maciałek Józef; szer.: Wroński Bronisław. Z 7-klas. szkoły powszechnej złożyli egzamin: chor. Król; sierż. szt.: Górka Jakób, Koszyk Julian, Czapkiewicz, Jędrzejowski; sierżanci:

Odsłonięcie pomnika „Marsylianki" w Strassburgu

W dniu 14. lipca b. r. był Strassburg widownią wspaniałej manifestacyi narodowej, w której prócz ludności Alzacyi i Lotaryngii wzięła przez swych zastępców udział cała Francya, święcąc pamiątkę swego republikańskiego hymnu narodowego i jego twórcy Rougeta de Lisle.

W dniu 26. kwietnia 1792 r. zaśpiewał po raz pierwszy na salonach ówczesnego mera Strassburga, Fryderyka Dietricha, Rouget de Lisle swą „Marsyliankę", przeznaczoną, jako śpiew wojenny dla armii nadreńskiej. Z czasem stała się ona hymnem narodowym Francyi, który wiódł jej zastępy do zwycięskich bojów, a w chwilach nieszczęścia i zwątpienia dodawał otuchy i siły do wytrwania.

W dniu 24. października 1848., z okazyi dwóchsetletniej rocznicy połączenia Alzacyi z Francyą, powzięto projekt wystawienia pomnika, mającego upamiętnić powstanie „Marsylianki" odbyło się nawet położenie kamienia węgielnego pod jego budowę, w doprowadzeniu do skutku przedsięwzięcia przeszkodziły jednak następne wypadki polityczne. Za czasów drugiego cesarstwa, „Marsylianka", jako śpiew republikański uważaną była za objaw nielojalności politycznej i prześladowaną przez policyę, nastąpiła okupacya Alzacyi i Lotaryngii przez Niemcy, wobec czego o wprowadzeniu w czyn projektu i w dalszym ciągu mowy być nie mogło.

Nadeszła jednak wojna światowa, Alzacya i Lotaryngia po pokonaniu potęgi niemieckiej wróciła znów do pnia macierzystego.

Dzień 22. listopada 1918. był dniem tryumfalnego powrotu „Marsylianki" w mury Strassburga, z nią na ustach wkroczyły do miasta zwycięskie zastępy francuskie. Z chwilą podpisania zawieszenia broni z Niemcami, zawiązał się w Paryżu komitet pod przewodnictwem Alberta barona Dietricha, wnuka śp. Fryderyka, mera Strassburga, w którego domu usłyszano po raz pierwszy „Marsyliankę", mający na celu zrealizowanie projektu z r. 1848. Zabrano się do dzieła energicznie. Na placu Broglie, nieopodal ratusza, a w bezpośredniem sąsiedztwie dawnego domu Fryderyka Dietricha, wzniesiono wspaniały pomnik dłuta słynnego strassburskiego rzeźbiarza Marzolfa. Umieszono na nim grupę, złożoną z oficera w uniformie z r. 1792 i ochotnika w stroju ludowym. Na kamieniu wyryto napis: *„Allons, enfants de la Patrie"*, pierwsze słowa „Marsylianki".

W uroczystości odsłonięcia pomnika w dniu 14. lipca b. r.. wzięły udział przedstawicielstwa wojskowości, władz cywilnych i ludności fran-



Pokojowa praca kulturalna w pułkach podhalańskich w Nowym Sączu: Dokształcający Kurs gimnazyalny załogi w N. Sączu wraz z dowódcą garnizonu pułk. Dobrodzickim, dyr. A. Maczugą i gronem profesorskiem.

cuskiej, czcząc w ten sposób nie tylko pamięć „Marsylianki“ ale i ostatni tryumf francuskiego oręża.

Zjazd b członków i wychowanków Tow. Terminatorów im. św. Stanisława Kostki we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 9).

Z okazyi 33-letniego istnienia Towarzystwa Terminatorów im. św. Stanisława Kostki we Lwowie odbył się w dniu 2. lipca b. r. tamże Zjazd byłych członków i wychowanków tegoż Towarzystwa. Zjazd poprzedziła uroczysta msza św. w kościele archikatedralnym, celebrowana przez prezesa tegoż Towarzystwa ks. kanonika Kazimierza Dziurzyńskiego, poczem członkowie Zjazdu ze sztandarem i muzyką udali się do sali Teatru Małego. Uczestników Zjazdu powitał w obecności gości i delegatów prezes ks. kanonik Dziurzyński, a imieniem byłych wychowanków wygłosił własnego utworu wiersz powitalny ze wspomnieniem przeżyć tak Towarzystwa jak i byłych i obecnych opiekunów i członków jeden z najstarszych wychowanków Towarzystwa. Następnie profesor dr. Wolańczyk przedstawił historyę Towarzystwa od założenia po dzień dzisiejszy, wykazując wśród jak trudnych warunków pracowali pierwsi założyciele, a jak wspaniałe osiągnięto wyniki. Z kolei przemawiali: p. Władysław Żeńczak, najstarszy opiekun Towarzystwa, który z prawdziwem rozrzewnieniem witał owoce własnego posiewu, ks. Jan Figura, przedstawiając projekt statutu, na którym ma się oprzeć założenie Związku byłych członków i wychowanków Towarzystwa św. Stanisława Kostki, już jako ludzi na poważnych stanowiskach, chcących kontynuować ideę Towarzystwa. Obecny na Zjeździe Kurator tegoż Towarzystwa książ Arcybiskup dr. Józef Bilczewski w serdecznych słowach zachęcił do dalszej pracy na niwie narodowej, przyrzekając swe poparcie i udzielając zebranym swego arcypasterskiego błogosławieństwa.

Popołudniu tegoż dnia odegrali amatorowie Towarzystwa sztukę okolicznościową „Takich więcej“ p. Wdowiszewskiego. Wieczorem zakończono Zjazd zabawą towarzyską, a dochód przeznaczono na założenie Związku. Uczestnicy Zjazdu wybrali Prezydyum i Wydział dla nowo założonego Związku a mianowicie: na prezesa p. Józefa Zaczkowskiego, na wiceprezesa p. Rudolfa Martulę, oraz ośmiu członków wydziału, w osobach: ks. kan. Kazimierza Dziurzyńskiego (z urzędu jako prezes Towarzystwa), p. Maryana Kucielę, p. Józefa Kuźmińskiego, p. Wiktora Kolanowskiego, p. Stanisława Stopę, oraz do Komisyi rewizyjnej ks. kan. Albina Warszylewicza, ks. Jana Figurę, p. Stanisława Załuskiego, i p. Jana Zawalskiego.



Walki byków w Hiszpanii: Stada byków, pędzone wśród specyalnego zagrodzenia przez ulice Pampeluny na miejsce walk.



Walki byków w Hiszpanii: U wejścia na arenę w Pampelunie w chwili, która omal nie zakończyła się katastrofą.

Jeszcze o mordercach Rathenau'a.

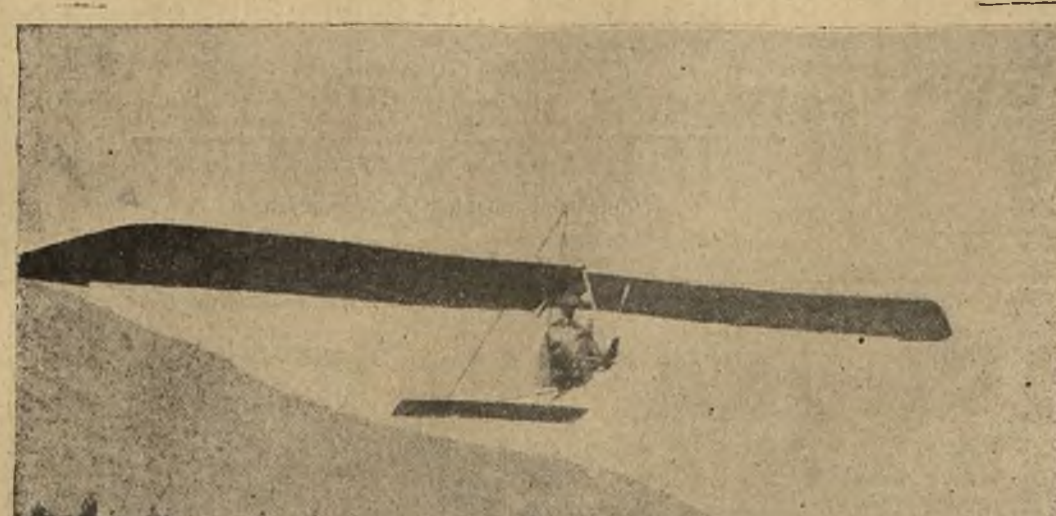
W poprzednim numerze naszego pisma podając portrety wyśledzonych przez policyę niemiecką morderców Rathenau'a, inżyniera Fischera i porucznika Kerna, zaznaczyliśmy, że, według informacyi prasy niemieckiej obaj mordercy, którzy ukrywali się w ruinach zamczyska Saaleck obok miejscowości Cösen w Saksonii, w chwili, gdy policya, odkrywszy ich schronisko, usiłowała się do niego dostać, popełnili samobójstwo. Równocześnie zwróciliśmy uwagę na głosy prasy francuskiej, która jest zdania, że się ma w tym wypadku do czynienia ze zwykłą komedją, zainscenizowaną przez niemiecką policyę, aby właściwym mordercom dać sposobność ucieczki.

Faktem jest jedynie, że obaj wymienieni wyżej, Fischer i Kern, przebywali pewien czas w murach opuszczonego zamku, który nie po raz pierwszy dał schronienie politycznym przestępcom. Ukrywał się tutaj swojego czasu porucznik Diethmar po uwolnieniu przez Kerna z więzienia. „Pustelnikom„ w Saaleck nie wiodło się źle, zaopatrywani byli we wszystko, posiadali nawet telefoniczne połączenie z Monachium. O ich pobycie na zamku wiedziano w okolicy, przedewszystkiem zaś publicysta dr. Stein, przebywający tamże na wakacyach, który w chwili, gdy policya wpadła na ich trop, gdzieś nagle zniknął, a wraz z nim i informacye, jakich mógłby zapewne udzielić. Słynny kapitan Ehrhardt wypiera się jakichkolwiek stosunków z mordercami, twierdząc, że uprawia jedynie zupełnie legalną kampanię w słowie i piśmie w duchu narodowym przeciw wrogom ojczyzny za jakich uważa socyalistów i żydów.

Czy niemieckie doniesienie o samobójstwie morderców jest prawdziwe, czy też racyę mają Francuzi, o tem powiedzieć nic nie można, to jedno jest pewne, że sprawa zamordowania Rathenau'a przestała zajmować umysły niemieckie, bo i pocóż się nią kłopotać, skoro mordercy już nie żyją.

Walki byków w Hiszpanii.

Walki byków, to średniowieczna hiszpańska zabawa narodowa, która dotrwała do naszych cza-



Postępy w dziedzinie lotnictwa: Produkcya Kollera na samolocie bez motoru wobec bawarskiego Aeroklubu.

sów, budząc stałe zainteresowanie tak wśród mieszkańców kraju, jak i licznych przybyszów, uważających je za jedną z osobliwości, godnych widzenia, z któremi gdzieindziej nigdzie się nie spotyka. Z biegiem czasów uległy walki byków pewnym, bardzo nieznacznym modyfikacyom, zatrzymując w pełni cały swój średniowieczny charakter, szczególniej zaś w Pampelunie prowadzi się je w sposób zupełnie taki, jak to było kilkaset lat temu wstecz.

Pampeluna obchodzi corocznie w dniach od 6. do 11. lipca uroczystości na cześć św. Firmina męczennika, równocześnie zaś odbywają się tamże sławne na cały świat walki byków, ściągające dziesiątki tysięcy ciekawych nie tylko z całego kraju, lecz i z za granicy. Pampeluńskie igrzyska tem się różnią od podobnych, urządzanych w innych miejscowościach, iż, gdy gdzieindziej przewozi się byki na arenę w zamkniętych klatkach, tutaj codziennie przed zawodami przepędza się je zupełnie wolno pod dozorem należycie wyszkolonych jeźdźców ulicami miasta między umyślnie w tym celu sporządzonemi zagrodzeniami, za któremi gromadzą się ciekawi i bawią się w amatorów torreadorów, drażniąc je kolorowemi chustkami lub ruchami rąk. Byki jednak nie dają się tak łatwo wyprowadzić z równowagi, jak gdyby wiedziały, że nie tutaj miejsce dla ich popisu, gdy zaś który, zbyt krewki, ruszy w stronę zgromadzonej za baryerami gawiedzi, wywołuje to łatwo zrozumiały popłoch. To przepędzanie byków odbywa się codziennie o godzinie 6. rano, a o jego rozpoczęciu zawiadamia miasto wystrzał armatni.

W bieżącym roku arena w Pampelunie omal nie stała się widownią strasznej katastrofy. Oto, gdy przed rozpoczęciem zawodów puszczano na arenę stado byków, torreadorzy, stojący obok bramy, nie usunęli się na czas, skrajny przewrócił się, powodując upadek i reszty towarzyszów. Pierwszy byk zatrzymał się chwilowo, napierany jednak przez dalsze, posunął się naprzód, za nim podążyła reszta, przekraczając zaporę, utworzoną z ciał ludzkich. Na arenie zakotłowało, w mgnieniu oka ciała ludzkie i zwierzęce utworzyły zmagającą się ze sobą masę, wśród widzów powstała szalona panika. Ostatecznie udało się strożom poskromić rozjuszone byki, szczęśliwym trafem nikt z ludzi śmierci nie poniósł, ciężej lub lżej poranionych zostało dwadzieścia kilka osób.

Postępy w dziedzinie lotnictwa.

Lotnictwo rozwinęło się w naszych czasach do niebywałych rozmiarów, a, mając się stać, wedle zapewnień strategików, jednym z najważniejszych środków wojennych przyszłości, podlega ciągłym ulepszeniom, a prym w tym kierunku wiodą stale Niemcy. Przemysłowość niemiecka wysila się na wprowadzenie do lotnictwa coraz to doskonalszych, a jak najmniej skomplikowanych urządzeń, które ułatwiałyby konstrukcyę aparatu i zapewniały bezpieczeństwo lotu, przy najdalej idącej oszczędności materyału tak budowlanego, jak i opałowego.

W ubiegłym miesiącu produkował się przed bawarskim Aeroklubem niejaki Koller, na aparacie swojego wynalazku, obchodzącym się zupełnie bez motoru, który zastępuje urządzenie przypominające rower. Próby wzlotu powiodły się, nowy wynalazek rokuje jak najpiękniejsze nadzieje, i nie braknie z pewnością takich, którzy nie pożałują pieniędzy na dalsze próby w tym kierunku.

Problem to zupełnie nie nowy, nad którego rozwiązaniem pracował już w latach ośmdziesiątych Francuz Mouillard. Lata całe strawił on na obserwowaniu lotu wielkich ptaków w Afryce, starał się z tego wyciągnąć wnioski i zastosować je w praktyce. Pisał na ten temat wiele, teoryi swych nie potrafił zrealizować, tak jak tego pragnął, czem zniechęcony zmarł w r. 1897. w Kairze, straciwszy poprzednio cały swój majątek na doświadczenia.

NOWOŚĆ

LABORATORYUM KOSMETYCZNE
Franciszki Budziaszek
Kraków, ul. Grodzka L. 3,
poleca swój najnowszy wyrób
„RÓŻ LYGIA"
w płynie, o średnim stanie na — WARGI.
Przez użycie „RÓŻU LYGIA" otrzymuje się piękny, zdrowy kolor warg

NOWOŚĆ

LABORATORYUM KOSMETYCZNE
FRANCISZKI BUDZIASZEK
Kraków, ulica Grodzka L. 3,
poleca wielki wybór bardzo twarzowych
PERUŻEK
nadających młodociany wygląd. Na prowincyę wysyła się za zaliczką. Przy zamówieniu uprasza się nadsyłać zadatek.
Ceny konkurencyjne.

„HUMOR POLSKI"
Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny.
Cena egz. 60 Mk.
Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.

Wykupuję Wyczeszki i obcięte włosy
płacąc najwyższe ceny.
Wyrabiam, przerabiam i farbuję
Warkocze
po cenach konkurencyjnych
Laboratorium Kosmetyczne
FRANCISZKI BUDZIASZEK
Kraków, ulica Grodzka L. 3.

!! SKUTEK PORĘCZONY !!

Tysiące podziękowań do przejrzenia!
PEŁNY, PIĘKNY, JĘDRNY BIUST
można uzyskać przez użycie pod gwarancyą nieszkodliwego Dra med. A. RIX'a
KREMU NA PIERSI.
W każdym wieku szybki i pewien skutek. Zabieg zewnętrzny. Jedyny krem na piersi, dla którego wspaniałej skuteczności prowadzą apteki, perfumerye i t. p. Próbna puszka Mk. 300·— Duża puszka, wystarczająca na osiągnięcie skutku Mkp. 500·—, dalej dra Rix'a maść przeciw piegom POMPADOUR-CREME w puszkach po Mkp. 300·.
Wysyłka bezwarunkowo dyskretna
KOSM Dra A. RIXA PREPARATY
Na składzie w Krakowie:
Główny skład REIM i Ska
Rynek Gł. 37.
Odpowiedni rabat dla sprzedających.

Nowości wydawnicze! Wacław Grabiański Nowości wydawnicze!
PRZESILENIE
Dramat w 3-ch aktach.
DWIE NOWELE
(Stary rybak. Sprawiedliwości)
Kraków, Gebethner i Wolff. 1922.
WYJĄTKI Z RECENZYJ.
...„Przesilenie" daje poznać ciekawy wysiłek stworzenia dramatu politycznego, rzuconego na szersze tło spraw społecznych. Zamierzenie niezmiernie trudne przeprowadza autor ze znaczną kulturą literacką i publicystyczną. W dziedzinie twórczości na polu dramatu jest „Przesilenie" zjawiskiem oryginalnem i ciekawem. „Nowa Reforma" Kraków, Nr. 13; 16 stycznia 1922.
...Akcya toczy się współcześnie, a obfituje w szereg scen o silnem dramatycznem napięciu często graniczącem z tragizmem... „Kurjer Warszawski" Warszawa, Nr. 34, 3 lutego 1922.
...W zawiązaniu i przeprowadzeniu sztuki znać wybitny nerw sceniczny. Język mocny i zwięzły sprawia, że utwór czyta się miło i z zainteresowaniem... „Głos Narodu" Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.
.. Najcharakterystyczniejszym dla nowel Grabiańskiego jest symbol: „Stary rybak" jest symbolem idei-siły, która trzyma człowieka przy życiu, zaś w „Sprawiedliwości" widzimy obraz walki gminu ze wszystkiem, czego nie zdolny jest objąć rozum człowieka i czego wiara nie zamyka w sobie... „Głos Narodu" Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.
Tegoż autora: Wojenny Balonik (Bajki i nie-bajki)
Piekło (Szkice z wojny)
Rymy i proza.

DRUKARNIA
D. E. FRIEDLEINA
zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. b. starannie, po cenach umiarkowanych.
Kraków, ul Kazimierza W. 95
Telefon Nr. 479.

MODELE OBUWIA
oglądać można codziennie od 8—10 przed poł.
bezpłatnie.
GIZELA BRAND, Kraków, Starowiślna 6

„DZIATWA POLSKA"
dwutygodnik illustrowany.
Pismo dla dzieci.
Wychodzi
1 i 15 każdego miesiąca
Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, ul. Kazimierza W. 95.
:—: Telefon Nr. 479. :—:

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.